

Koncert na ponad tuzin dziennikarzy i trzech ambasadorów w intencji zniesławienia Jana Kobyłańskiego

Kampania pomówień, obelg i kłamstw

O wielomiesięcznej kampanii zniesławiania i znieważania Jana Kobyłańskiego, którą największe media rozpoczęły w 2004 roku, wypadałoby napisać grubą książkę, a nie taki jak ten, stosunkowo niewielki artykuł. „Bestia”, „zbrodniarz”, „szmalcownik”, „denuncjator”, „fałszerz”, „bandyta”, „watażka”, „oszust”, „morderca”, „hitlerowski kolaborant”, „dr Jekyll” – takie słowa wielokrotnie powtarzano w prasie, radio i telewizji pod adresem ponad 80-letniego prezesa Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej (USOPAŁ). Przypisywano mu czyny i cechy tak straszne, że gdyby tylko niewielka część tych zarzutów miała coś wspólnego z prawdą, to określenie go mianem „zbrodniarza” wcale nie byłoby zbyt surowe. Tyle, że zarzuty były nieprawdziwe. Powtarzający je autorzy przez ponad rok współuczestniczyli w tej zniesławiającej kampanii medialnej, uciekając się do bogatego zestawu mniej lub bardziej niegodziwych metod i środków.

Nie była to salonowa pykanina z damskich pistolecików trzeciorzędnych pomówień. „Gazeta Wyborcza” i „Rzeczpospolita” (a w ślad za nimi, powtarzając ich kalumnie, „Polityka”, „Newsweek”, TVP, PR, Radio Zet i inne) użyły najcięższej artylerii najgrubszych kłamstw.

Dwa spośród najpopularniejszych dzienników, dwa z najczęściej kupowanych opiniotwórczych tygodników i dwie z najważniejszych stacji radiowych przez wiele miesięcy dość często (a w Wielkim Tygodniu 2005 roku niemal codziennie) zniesławiały i znieważały twórcę i prezesa USOPAŁ, obrzucając go najbardziej obelżywymi słowami. W kampanię zaangażowali się też, lub pozwolili się w niej użyć, ludzie pełniący ważne funkcje państwowe, niekiedy także osoby cieszące się pewnym moralnym autorytetem. Kto z nich czynił to świadomie, a kto w charakterze „pożytecznego idioty”, tego ocenić nie potrafię.

Prowadzenie skutecznej obrony przed tak zmasowanym atakiem nie było łatwe. Masowe powtarzanie zniesławiających kłamstw niemal zawsze zostawia brudne ślady na opinii zniesławianego. Trudno było spodziewać się, że czytelnicy „Wyborczej” i „Rzeczpospolitej” odrzucą tezy przedstawiane przez ich ulubione gazety (i powtarzane przez ich ulubione stacje radiowe i telewizyjne) a uwierzą w to, co o swej własnej przeszłości mówi ten, którego dziennikarze i byli dyplomaci zgodnie nazywali „mrocznym” „zbrodniarzem-milionerem”, „denuncjatorem Żydów”, „geszefciarzem”, „hochszaplerem” i „kacykiem”.

W oczernianie Jana Kobyłańskiego zaangażowano imponujące środki i godną uznania – gdyby jej użyć w dobrej sprawie – energię. Tyle, że efektem tej reportersko-publicystycznej akcji było podanie do publicznej wiadomości informacji z gruntu nieprawdziwych, dezawuuując przy tym dorobek pracy polonijnej bohatera artykułów. Reporterzy pomijali milczeniem wiele, jeśli wręcz nie wszystkie dowody, wskazujące na nieprawdziwość lub absurdalność stawianych Janowi Kobyłańskiemu zarzutów. Czy w działaniach reporterów i redakcji więcej było leniwej niesumienności, czy umyślnego manipulowania zebranymi materiałami i wymyślonymi interpretacjami – to rzecz niełatwa do ustalenia.

Z Europy za Ocean

Mikołaj Lizut z “Gazety Wyborczej” był w latach 2004-2005 autorem lub współautorem największej liczby artykułów na temat Jana Kobyłańskiego. Jego reportaże i komentarze rozpoczęły całą tę kampanię.

To on pojechał za Ocean, by “tropić” tam Jana Kobyłańskiego, by już w pierwszym artykule przedstawić go jako byłego współpracownika hitlerowców, który wspiera dziś ojca Tadeusza Rydzyka i prezesa Andrzeja Leppera...

“Nie ma na to dowodów” – pisał red. Lizut – “ale wszystko wskazuje” na to, że... Po czym insynuował, że Kobyłański współpracował z hitlerowcami, twierdząc, że tzw. siatka OdeSSa (tajna hitlerowska organizacja chroniąca zbrodniarzy wojennych przed wymiarem sprawiedliwości i umożliwiająca im ucieczki z Europy do Ameryki Południowej) mogła ułatwić Kobyłańskiemu po wojnie wyjazd z Europy do Ameryki. Także Daniel Passent w “Polityce” bez cienia dowodów wyrazi przypuszczenie, że Jan Kobyłański trafił do Paragwaju tą samą drogą, co dwaj z najbardziej znanych hitlerowskich zbrodniarzy: Adolf Eichmann i Josef Mengele.

Reporter “Gazety Wyborczej” zapewniał, że Kobyłański przyjechał w 1952 roku do Paragwaju, rządzonego przez “krwawego dyktatora generała Alfredo Stroessnera” i wszystko to (łącznie z niemieckim brzmieniem nazwiska generała) układałoby się we wcale zgrabną całość, gdyby sprzeczne z tą wersją - jakże obelżywą dla Jana Kobyłańskiego, byłego więźnia hitlerowskich obozów koncentracyjnych - fakty.

Najpierw wypada sprostować, że w 1952 roku prezydentem Paragwaju nie był Alfredo Stroessner, lecz Federico Chavez.

Następnie należy podkreślić, że Jan Kobyłański przyjechał do Paragwaju na zaproszenie ministra doktora Roberta Petita. Rząd Paragwaju przyjął w 1952 roku rozporządzenie “O włączeniu w życie gospodarcze kraju włoskich firm rolno-przemysłowych”, a program ten dotyczył m.in. imigracji 18.000 rodzin z Europy. Z tej liczby 70% przybyło z Włoch, gdzie wówczas prowadził interesy Jan Kobyłański.

Co do powodów jego wyjazdu z Europy, to on sam nie tylko zawsze powtarzał, że był tylko jeden taki powód - korzystny kontrakt w Paragwaju na dostawę sprzętu gospodarstwa domowego - ale chętnie pokazywał liczne potwierdzające to dokumenty. Obala to powieściowo-sensacyjną wersję o ucieczce z Europy z pomocą agentów siatki OdeSSa.

Ten i większość pozostałych zarzutów – nieprawdziwych, a często także gołosłownie przedstawianych i wzmacnianych obelżywymi epitetami - grupa kilkunastu dziennikarzy i trzech byłych dyplomatów przez ponad rok wielokrotnie powtarzała w artykułach, wywiadach i wypowiedziach radiowych lub telewizyjnych. To nie były pojedyncze, izolowane obelgi lub pomówienia. To była prawdziwie oszczercza kampania medialna.

W niemieckich obozach

Już w pierwszym, rozpoczynającym kampanię artykule red. Lizut sceptycznie wyrażał się na temat informacji o pobycie Jana Kobyłańskiego w obozach w Mauthausen, Gusen i Dachau. Napisał, że

próżno szukać w obozowej dokumentacji potwierdzenia tych faktów. Wniosek narzucał się sam: Kobylański to oszust bez czci i wiary, skoro twierdzi, że był w obozach, choć - jak twierdzi red. Lizut - nie był. Tyle, że byłby to wniosek fałszywy. Nieprawdziwe było bowiem stwierdzenie redaktora "Gazety Wyborczej" o braku dokumentów na temat pobytu Jana Kobylańskiego w obozach. Wystarczająco wiele tych danych zachowało się w archiwach - i są dziś one powszechnie dostępne.

Red. Lizut rozpisywał się o tym, z jakim wysiłkiem tropił Jana Kobylańskiego w dalekiej Ameryce, ale nie zadał sobie trudu lub nie umiał sprawdzić w europejskich archiwach prawdziwości informacji na temat obozowego rozdziału biografii bohatera artykułu. Nietrudno uwierzyć, że mógł znać prawdę, lecz świadomie zataił ją przed czytelnikami - bo nie byłaby to największa dziennikarska niegodziwość w jego wykonaniu.

Człowieka ciężko doświadczonego przez hitlerowski system przemocy przedstawił jako oszusta i kłamcę.

Zarzucił mu też sfalszowanie dokumentów. (O tym, co się ostało z tego zarzutu po uważnej lekturze kopii dokumentów przedstawionych przez red. Lizuta w charakterze "dowodów" - piszemy w innym miejscu).

W okupowanej Polsce

Kiedy i jaką drogą Kobylański trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego, to rzecz niebłaha dla ustalenia wiarygodności zeznań świadka, który w 1947 roku złożył obciążające Kobylańskich zeznania. Od tej kwestii wypada więc zacząć.

Red. Jerzy Morawski z "Rzeczpospolitej" uznał za niewiarygodne oświadczenie Jana Kobylańskiego, że w 1942 roku został on aresztowany w Warszawie przez gestapo, trafił do więzienia na Pawiaku, a stamtąd do obozu. Píše, że Kobylański to "więzień, którego nie było". Jak to uzasadnia? Skoro Niemcy zniszczyli dokumentację Pawiaka, to nie ma możliwości sprawdzenia, czy Kobylański tam przebywał, więc należy uznać, że go tam nie było... Po czym red. Morawski przedstawia własną - sensacyjną, lecz gołosłowną - wersję wydarzeń: po rzekomym zadenuncjowaniu Niemcom żydowskiej rodziny Szenkerów Kobylański miał być poszukiwany przez AK - i w obawie przed nią schronić się na Pawiak (choć w tym samym artykule red. Morawski zapewnia, że Kobylański "jak wiadomo" nigdy tam nie był). Artykuł nosi tytuł "Mroczne strony milionera" i wprawdzie red. Morawski wylicza tych rzekomych mrocznych stron całkiem sporo, ale jednak nie więcej, niż ich liczy jego własny artykuł.

Autor pisze, że dzisiejszy Jan Kobylański wcześniej, bo także w czasie wojny, używał imienia Jan - co nie jest prawdą, a może być istotne dla sprawy. Autor nie podaje też, **kiedy Leokadia Sarnowska złożyła do Prokuratury w Warszawie pierwsze doniesienie na rodzinę Kobylańskich, którą oskarżyła o szmalcownictwo. Otóż stało się to w roku 1947 - 2 lata po zakończeniu wojny, 4 lata po rzekomej denuncjatorskiej akcji, a 5 lat po aresztowaniu w 1942 roku Janusza Kobylańskiego i zamknięciu go na Pawiaku. [Gdyby czytelnik poznał te daty, mógłby spytać: kto w takim razie w 1943 brał udział w opisywanej przez Sarnowską akcji (założywszy, że faktycznie miała ona miejsce)? Czemu tak późno złożyła ona zeznania? Czy za jej nieweryfikowalnym pomówieniem nie kryje się np. chęć zemsty czy próba wyłudzenia pieniędzy od adwokata Stanisława Kobylańskiego, ojca Janusza i Jana? Mimo zeznań Sarnowskiej i drugiego (zresztą - jak z tych zeznań wynika - zaprzyjaźnionego z nią) świadka, przez 7 lat śledztwa, aż do roku 1954, prokuratura nie zdobyła żadnych dowodów przeciwko Stanisławowi i Janowi Kobylańskim.]**

Autor przywołuje tylko parę zdań z zeznań Stanisława Kobylańskiego i nie konfrontuje ich z oskarżeniami Sarnowskiej. Nie pyta: jak mieli na imię Szenkerowie, w jakim byli wieku, gdzie się

urodzili? Czemu Sarnowska nie podała żadnych informacji, które mogłyby naprowadzić na ślad ich istnienia? Nie próbuje przedstawić żadnego z możliwych, alternatywnych do znanego z zeznań Sarnowskiej, scenariuszy wydarzeń.

Dwa dni po publikacji red. Morawskiego jego tezy podchwyciła "Gazeta Wyborcza". Tytuł artykułu Mikołaja Lizuta i Karola Doleckiego to "Krótka historia Kobyłańskiego", więc napiszmy tu o nim krótko. Oto jak redaktorzy "Wyborczej" uporali się z faktem, że przypisywane Janowi Kobyłańskiemu wydanie rodziny Szenkerów w ręce Niemców miało mieć miejsce w 1943 roku, a zgodnie z zeznaniami świadków i oświadczeniami obecnego Prezesa USOPAŁ od 1942 roku przebywał on na Pawiaku, a potem w obozach. Otóż w "Wyborczej" napisano, że nie istnieją żadne dowody potwierdzające fakt pobytu Jana Kobyłańskiego w jakimkolwiek obozie koncentracyjnym, po czym – lekceważąc logiczną zasadę wyłączonego środka – autorzy napisali, że "niejasny status [Kobyłańskiego] w obozach koncentracyjnych mógł być głównym powodem jego wyjazdu do Ameryki Łacińskiej". **Albo był w obozach, albo nie był – to proste rozumowanie dla redaktorów "Gazety Wyborczej" okazało się tym razem zbyt trudne.**

Po ogłoszeniu i nagłośnieniu zarzutów postawionych przed laty Kobyłańskim przez Sarnowską sprawą zajął się IPN. 10 sierpnia 2005 roku "Gazeta Wyborcza" opublikowała artykuł Karola Doleckiego zatytułowany "IPN o sprawie Kobyłańskiego. Wydali rodzinę żydowską gestapo". Cytowany tam "przedstawiciel IPN" miał stwierdzić, że Stanisław i Janusz Kobyłańscy "ponad wszelką wątpliwość" wydali gestapo żydowską rodzinę. W tym duchu wypowiadali się też wyżsi, i nieanonimowi, przedstawiciele IPN.

Dopiero parę miesięcy po zmianie prezesa szef pionu śledczego i wiceprezes IPN prof. Witold Kulesza oświadczy 20 kwietnia 2006 roku, że **"dotychczas nie znaleziono dowodów, by prezes Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polskich w Ameryce Łacińskiej Jan Kobyłański istotnie zadenuncjował w czasie wojny Niemcom małżeństwo Żydów. Nadal trwają czynności sprawdzające IPN wobec tego polonijnego biznesmena z Urugwaju, uchodzącego za sponsora Radia Maryja. [Prezes IPN Wojciech] Kurtyka dodał, że wkrótce ruszą prace, przy szerokim udziale IPN, nad opracowaniem indeksu Polaków, którzy w czasie wojny zginęli za pomaganie Żydom"**.

Zanim jednak IPN wydał to oświadczenie, dobre imię prezesa Kobyłańskiego gnojono nie bez udziału najwyższych władz IPN.

Ekstradycja, której nie było

26 kwietnia 2005 roku Jacek Hołub napisał w "Gazecie Wyborczej" o zapowiedzi "ekstradycji Jana Kobyłańskiego" w związku z "zadenuncjowaniem Żydów". Napisał, że "Minister Sprawiedliwości wystąpi o jego ekstradycję".

Napisał tam, mimo że IPN - który od jesieni 2004 roku prowadził śledztwo w tej sprawie - już w marcu 2005 roku oświadczył, że zebrał już w archiwum IPN, Urzędzie Śledztw Specjalnych Departamentu Sprawiedliwości USA, Centrum Dokumentacji Zbrodni Hitlerowskich w Ludwigsburgu, muzeach Auschwitz i Gross Rosen, Polskim Czerwonym Krzyżu, aktach Ministerstwa Sprawiedliwości III Rzeszy i w innych instytucjach komplet niezbędnych informacji.

Ale upłynęło 30 dni ... i nie stało się nic.

Prasa zapowiadała ekstradycję "zbrodniarza-milionera" w świetle kamer i błysku fleszy, z udziałem Ministra Sprawiedliwości, Prezesa i Szefa Pionu Śledczego IPN...

Ale nie stało się nic...

10 maja 2005 roku Karol Dolecki w "Gazecie Wyborczej" odwraca uwagę czytelników od niespodziewanie długiej procedury sporządzania wniosku o ekstradycję Jana Kobyłańskiego, pisząc: "sporządzony zostanie zapewne wniosek o ekstradycję, co już w marcu sugerował Minister Sprawiedliwości Andrzej Kalwas".

Ale w tym samym czasie Instytut Pamięci Narodowej oświadczył już przecież, że posiada już komplet informacji w sprawie rzekomego zadenuncjowania żydowskiego małżeństwa przez Stanisława i Janusza Kobyłańskich.

Minęły dwa miesiące.

Ale nie stało się nic...

Dyplomatyczny salonowiec

Trzej ambasadorowie i znajomi, Jarosław Gugała, Daniel Passent i Ryszard Schnepf (dwaj pierwsi to dziennikarze z zawodu, trzeci ożenił się z dziennikarką) po niekoniecznie dobrowolnym powrocie z placówek w krajach Ameryki Łacińskiej aktywnie włączyli się w medialne linczowanie Jana Kobyłańskiego.

W akcji uczestniczyła też redaktorka Wiadomości TVP1 podpisująca swoje artykuły na temat Jana Kobyłańskiego jako Dorota Wysocka, a na co dzień, także w pracy dziennikarskiej, używająca nazwiska Wysocka-Schnepf, gdyż jest żoną wyżej wymienionego ambasadora Schnepfa. Ambasador Schnepf na antenie Wiadomości TVP1 (w których jego żona jest redaktorem) wraz z Mikołajem Lizutem z "Gazety Wyborczej" obrzucał Jana Kobyłańskiego najstraszniejszymi oskarżeniami. Za czasów swego ambasadorowania Ryszard Schnepf został uznany przez południowoamerykańską Polonię za *persona non grata*, a w 1996 roku został odwołany ze stanowiska w związku z nieprawidłowościami, jakich dopuścił się w trakcie sprawowania funkcji ambasadora w Urugwaju (MSZ i Prokuratura uznały, że "swoim zachowaniem naruszył" on "wewnętrzne przepisy MSZ oraz wprowadził w błąd Ministerstwo, jak też naruszył elementarne normy etyczne").


Były ambasador Gugała w ciągu niespełna ośmiu dni zdołał – mimo stałej pracy w TV Polsat i absorbujących zajęć Wielkiego Tygodnia - napisać dwa obszernie artykuły i udzielił pięciu wywiadów na temat Jana Kobyłańskiego. W 10-stronicowym artykule znieważająco zatytułowanym "Utuczylimy tę bestię", ogłoszonym w wielkanocnym numerze "Gazety Wyborczej", red. Gugała insynuował, że Jan Kobyłański skorumpował polskich polityków, aby bezprawnie otrzymać odznaczenie Krzyża Oświęcimskiego, a nawet - że jest mordercą i byłym kapo obozu w Dachau.

Zniesławiając Jana Kobyłańskiego, wszyscy trzej ambasadorowie podnosili w prasie i innych mediach także szereg innych zarzutów, dotyczących m.in. działalności twórcy i prezesa USOPAŁ na gruncie polonijnym, w tym jego sporów z ambasadorami. To ogromnie obszerny wątek, niemożliwy do choćby pobieżnego przedstawienia w szczupłych ramach tych dwu stron.

W dalekiej Ameryce

Jan Kobyłański, twórca i prezes USOPAŁ, były konsul RP w Urugwaju, założyciel Związku Polaków w Urugwaju, były konsul RP w Urugwaju i były prezes Związku Polaków w Argentynie, wiele zrobił dla milionów rodaków rozsianych na emigracji i uchodźstwie Ameryki Południowej.

Nie był tu człowiekiem znikąd - choć taki stan rzeczy sugerował w swoim artykule na łamach "Polityki" były ambasador Daniel Passent. Mocną wśród południowoamerykańskiej Polonii



pozycję wyrobił sobie na początku lat 90., gdy wyrósł na jedną z najważniejszych postaci Polonii światowej.

Przyczynił się m.in. do ustanowienia argentyńskiego prawa o obchodzonego co roku 8 czerwca Dniu Osadnika Polskiego, do odsłonięcia pomników Jana Pawła II w Buenos Aires i Montewideo, a pomnika Fryderyka Chopina w Punta del Este, do utworzenia polskiego lobby w argentyńskim parlamencie, do wznowienia działalności przez podupadające organizacje polskie w Paragwaju, Urugwaju i Meksyku.

Czy zniesławiając Jana Kobyłańskiego, łącząc go niewybrednymi słowami, pomawiając go publicznie o czyny, które – gdyby faktycznie miały miejsce – powinny by go narazić na utratę zaufania, niezbędnego dla jego działalności publicznej – ambasadorowie i współdziałający z nimi dziennikarze osiągnęli jakieś sukcesy? Najnowsze oświadczenie IPN kładzie kres ich nadziejom. Ale sprawa będzie zapewne miała ciąg dalszy. Czy można tak brutalnie znieważać i zniesławiać niewinnego stawianych mu zarzutów człowieka? Jak widać - można. Ale czy można robić to bezkarnie? Oby nie.

Opracował

Franciszek S. Sikorski